

Wywiad z bratem cioteczonym mojego dziadka, Wacława Bilińskiego, Janem Kochanowskim, prowadzony przez moją mamę (pocz. lat 90.)

- Możemy spokojnie rozmawiać, bo to jest na godzinę tekstu. No więc zaczęliśmy, o tym co było we wrześniu 1939 r., we Lwowie.
- We wrześniu 1939? Ja mieszkałem w Brodach w woj. Tarnopolskim po wkroczeniu bolszewików 19 września mój ojciec piastując funkcję burmistrza miasta Brody, został aresztowany i wywieziony, dokąd tego do dzisiaj nie wiem – i wyprzedzając niektóre wypadki - po prostu zaginął w Związku Radzieckim. Po aresztowaniu ojca, po wysiedleniu z mieszkania, przenieśliśmy się z matką i siostrą do Lwowa. Mieszkaliśmy na Potockiego 11a róg Chodkiewicza. Tam wynajmowaliśmy jeden pokój.
- A ile pan miał lat wtedy?
- Ja miałem 19
- A, to już dużo...
- Skończyłem 19 lat w maju 39 i w tychże Brodach zdałem maturę. PO przeniesieniu się do Lwowa pracowaliśmy – matka nie mogła pracować bo była po operacji raka piersi, natomiast siostra pracowała w ogrodach miejskich jako robotnik, a ja zatrudniłem się w Powszechnej Spółdzielni Spożywców (ukraińskiej) – po ukraińsku to się nazywało Obst Spożiw – jako konwojent. W tym czasie Niemcy rejestrowali osoby, które w czasie wojennych we wrześniu uciekły na wschód i starały się o powrót do swoich miejsc zamieszkania do 1 września. Ponieważ ojca aresztowali, zaginął bez wieści, wiedząc że i nam grozi jakieś niebezpieczeństwo, postarałem się o dokumenty, które świadczyły, że do 1 września mieszkaliśmy w Siedlcach, które znalazły się pod okupacją niemiecką. Zarejestrowaliśmy się, część ludzi wyjechała od razu, a potem czekaliśmy na wyjazd. To trwało do czerwca 1940 r. Wtedy wg tych adresów, tych bieżenców, którzy nie zdążyli wrócić na tereny zajęte przez Trzecią Rzeszę, wywozili. Jak pani się dobrze orientuje. Te masowe wywózki –masowe podkreślam – rozpoczęły się w lutym 1940 r. W lutym 1940 r. te deportacje do ZSRR objęły przede wszystkim rodziny urzędników państwowych, rodziny policjantów, leśników i gajowych.
- Tak. Mój dziadek też się wtedy ukrywał przed Rosjanami bo groziła mu deportacja.
- W kwietniu 1940 r. te masowe deportacje objęły uciekinierów z zachodu na dawne polskie wschodnie tereny, żony oficerów, podoficerów, także urzędników państwowych, m.in. w tyturze została wywieziona siostra mojej matki z dwojgiem dzieci, której mąż był majorem wojska polskiego, prawnikiem, sędzią orzekającym sądu okręgowego wojskowego w Poznaniu.
- Tak. Ale chciałam się dowiedzieć kiedy pan został deportowany. Zaraz po tym fakcie?
- W czerwcu 1940 r. (to była) trzecia tura tych deportacji.
- To jakby zamyka tzw. okres lwowski.
- Tak. Ale to nie oznacza, że w międzyczasie nie byli aresztowani i deportowani inni, innych kategorii osoby. I co teraz dalej mam mówić?
- Właśnie. Jak pan pamięta z tego okresu Lwów?
- Po pierwsze trzeba powiedzieć, że Lwów utrwalił się w mojej pamięci i w okresie przedwojennym (bo często bywałem we Lwowie, prawie byłem obywatelem Lwowa, przecież cała moja rodzina pochodzi ze Lwowa, matka, jej rodzina, od lat zasiedzieli we Lwowie). Lwów był miastem serdecznie otwartym. Otwartym na ludzi, otwartym na wiedzę, otwartym na kulturę – to był stary ośrodek polskości na tych ziemiach. Jak daleko sięgając pamięcią wstecz, można powiedzieć, że Lwów był oazą polskości na tych terenach. Bo nie ulega wątpliwości, jak pokazują nawet dowojenne statystyki z 1938 r., że większość mieszkańców woj. Tarnopolskiego i wschodniej części lwowskiego to byli Ukraińcy (wprawdzie lwowskie sięgało aż po Rzeszów, między Tarnowem a Rzeszowem była granica między krakowskim a lwowskim), to jednak począwszy od Przemyśla, Jarosława i dalej na wschód to była oaza Ukraińców. Nawet ze zdziwieniem, będąc ostatnio w Jarosławiu, wpadła mi taka statystyka z 1938 r. że powiat przemyski miał wtedy 48% Ukraińców. A im dalej na wschód, tym żywiol ukraiński był większy¹. Po pierwsze, można mówić o oazie polskości we Lwowie. Po drugie, byli niezwykle serdeczni ludzie. W zasadzie można powiedzieć, że ta serdeczność w ogóle cechowała Polaków mieszkających na tzw. Kresach. To byli ludzie, którzy z dziada pradziada przejęli te cechy, które Polaków na kresach cechowały. Przede wszystkim wielka gościnność, wielka serdeczność, uczulenie na nieszczęścia rozmaite – bo przecież na tych Kresach ciągle coś się działo i nie wiem czy to na skutek takiej potrzeby wzajemnego współdziałania, wzajemnego współżycia właśnie pojawiła się ta serdeczność.
- A jak pan to konkretnie pamięta? Np. czy pan pamięta jakieś takie sytuacje czy wypadki tej serdeczności.

¹ Było nieco inaczej – znacznie więcej Polaków mieszkało np. w okolicach Tarnopola, niż na zachód od Lwowa.

- Ja pamiętam z września 1939 r., jak ta masa uciekinierów przed wojskami hitlerowskimi napływała do Lwowa – a Lwów miał 360 tys. Mieszkańców – a pod koniec września było już 700 tys. Mieszkańców. Każdy dom to był praktycznie dom trzech rodzin – tych co były wcześniej i tych co napłynęli z zachodu.
- Czy pana rodzina też się wprowadziła do jakiejś rodziny?
- Myśmy mieszkali w mieszkaniu Lwowiaków osiadłych tam od wieków. To było sześciopokojowe mieszkanie, w każdym pokoju mieszkała inna rodzina, tam było sześć rodzin w tym mieszkaniu.
- A kto był właścicielem tego mieszkania?
- To znaczy wynajmowała je pani z dwoma córkami. Tzn. ja nie pamiętam kto. Zresztą z jedną z tych córek tej pani ożenił się potem brat Wacka Bilińskiego (to mój dziadek), Zdzisław Biliński.
- To była pierwsza żona jego?
- Tzn. później się ożenił, już po wywiezieniu na Syberię. Tzn. miasto tętniło życiem, zawiązywały się rozmaite organizacje, ja nawet do jednej z nich należałem, nie umiem określić co to była za organizacja.
- To jak to było możliwe (śmiech)
- Nie umiem określić.
- Że należał pan i nie wiedział do czego?
- Nie wiedziałem do czego, ale zadaniem tych organizacji, było dostarczanie fałszywych dokumentów. Kto to robił nie wiem, ja byłem tylko pośrednikiem. Jeżeli gdzieś na mieście od jakichś znajomych dowiadywałem się, że trzeba wyrobić dokumenty, to znowu miałem takiego quazi-łącznika, któremu to przekazywałem, on znowu komuś to przekazywał, i potem mnie to dostarczano. Ja zainteresowanemu to już przekazywałem. Co to była za organizacja, nie jestem w stanie powiedzieć. Odwiedziłem leżącego w październiku bodajże w szpitalu na ul. Korkowej Władysława Andersa, gen. Andersa. nie zdając sobie po prostu wtedy sprawę, czym to mogło grozić, ale był do niego dostęp, ponieważ przyjaźnił się wtedy ze moimi rodzicami i jako młody chłopak dobrze go znałem, to go odwiedziłem. Na szczęście nie skończyło się to ze strony okupanta bolszewickiego jakimiś przykrymi następstwami, ani w stosunku do mnie, ani w stosunku do mojej matki. Zresztą człowiek nie miał w ogóle żadnego doświadczenia w tej działalności konspiracyjnej, całkiem po prostu to była taka fantazja młodzieńcza, nie przemyślana działalność. Ja pamiętam taki wypadek – mego starszego ciotecznego brata (był starszy 11 lat ode mnie) i jego towarzystwo – byli pracownicy Zarządu miasta – inżynierowie, prawnicy – to byli ludzie z wielką wyobraźnią, trochę szalawili. Ale był może nie strach, tylko jakaś bojaźń w przeciwko żołnierzom bolszewickim. Ponieważ tamci nie znali polskiego, to wyzywano ich na ulicy i nikt z nich tego nie rozumiał. No naturalnie, ja nie obracałem się w kręgach intelektualnych, aczkolwiek miałem styczność ze znajomymi mojego ojca, jak przedstawicielem Zieleniewskiego, jak panem Witem Sulimirskim, to byli ludzie starsi wiekiem, o wielkim doświadczeniu i wielkich przejściach. Oni organizowali to życie podziemne we Lwowie.
- A chciałam się zapytać – czy wtedy, w tych czasach, np. bywał pan w hotelu George'a?
- W hotelu George'a to tylko przez przypadek bywałem. Natomiast o ile pamiętam to hotel George'a oddzielała od kamienicy T. tzw. ulica Choroszczysta, i jak tylnym wyjściem wchodziło się do George'a, to naprzeciw była taka kawiarenka 'Morskie Oczko'. I w tej kawiarni – to była chyba ulubiona kawiarenka słynnego poety lwowskiego. Tzn. ten Zbigniew Byszewski...
- Hemar?
- Nie. W tej chwili nie pamiętam nazwiska – zapomniałem – tam on miał stolik. Jego tam poznałem. Tzn. to był słynny lwowski poeta. nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, ale jak przypomnę to pani powiem. Tzn. człowiek był młody.
- No właśnie. Młodość była wtedy najpiękniejsza, 19, 20 lat.
- Prawda. I człowiek wtedy wyszedł z takiego domu, gdzie dostał pałką po głowie i na głowie mu kazali chodzić. Wszystko się przekreśliło.
- Ojca wtedy już nie było.
- Ojca nie było.
- No ale były dziewczyny.
- Były dziewczyny (śmiech). I to powiem pani bardzo sympatyczne, miłe. Tam gdzie moja siostra, pracowała po prostu fizycznie w ogrodach miejskich. No tam te wszystkie rośliny do obsadzenia, Wałów Hetmańskich, oni to wszystko hodowali i sadzili w tym parku. Nie było nędzy – no, może była, ja jej nie dostrzegalem. To akurat towarzystwo w którym ja się obracałem, coś z tego domu wywozilo. Zasobni Lwowiacy żyli nie z bieżącego handlu, ale z wyprzedawania rzeczy, które nagromadzili. Aczkolwiek muszę powiedzieć, że żona brata mojej matki, pani Bisanz Stefania, która uciekła z Katowic z trojgiem dzieci...
- Ale zdaje się znowu mieszkają w Katowicach.
- Mieszkają. Ich rodzina się rozpadła. Każdy gdzie indziej mieszka, część w Katowicach, część w Krakowie. To była pani, która pochodziła z bardzo bogatej rodziny, która żyła na odpowiednim poziomie, tak dzielna kobieta, że troje dzieci, lat 19, 17 i 10 wplaw przez San przeprowadziła w grudniu 1939 r. do Krakowa.
- To jak to ona zrobiła? Przepłynęli wszyscy?
- Tak. Wszyscy przepłynęli.

- W grudniu?
- W grudniu. Straszna zima.
- I pod lodem czy jak?
- No nie wiem czy pod lodem. W każdym razie przeszli przez San. Szczęśliwie. I ona całą okupację pracowała na ten dom w bardzo prosty sposób – ona wypiekała ciasta i dostarczała do ówczesnych krakowskich kawiarni. I na dość dobrym poziomie utrzymywała dom. Ja ją zapamiętałem.
- I sama była cały czas?
- Sama.
- Nie wyszła za męża?
- Nie, no za męża nie mogła wyjść bo męża miała w niewoli niemieckiej. Poniekąd bardzo ciekawy człowiek, bo pochodzący z rodziny niemieckiej – Bisanz jak samo nazwisko wskazuje. Niemcy mu proponowali przyjęcie obywatelstwa, nie zgodził się, trochę go pomęczyli i w niewoli cały czas przebył. I wrócił do kraju po wojnie via Murnau (ten obóz wyzwolili Amerykanie), przetransportowali go do Palestyny, do obozowiska w Tyberiadzie, stamtąd przewieźli go do Anglii i stamtąd wrócił w 1950 r. do kraju. Zresztą ta rodzina Bisanzów to jest bardzo ciekawa rodzina bo najstarszy brat mojej matki, Ernest, był inżynierem, dosłużył się stopnia podpułkownika w międzywojennej armii polskiej, w 1926 r. po zamachu Piłsudskiego został jako jego przeciwnik polityczny po prostu zdymisjonowany z wojska, i co ciekawe, że tego Ernesta Bisanza deportowali Rosjanie w kwietniu 1940 r., przebył Syberię, wyjechał z Andersem ze Związku Radzieckiego i po wojnie, w 45 r., tego drugiego Bisanza przewieźli Amerykanie do Palestyny z Niemiec. Drugiego z Iranu z kolei przewieźli. I oni spotkali się w szpitalu, leżąc obok siebie – byli w tak ciężkim stanie – przez sześć tygodni się nie poznali.
- Nie poznali się?
- Przypadkowo to się stało?
- Przypadkowo.
- I leżeli obok siebie?
- Leżeli i byli w takim stanie że jeden drugiego nie poznał.
- To jest historia na film. To jest niesamowite.
- Tak, to bardzo ciekawa historia.
- Że tak los ich w końcu zetknął. Tak chcieli być razem, ze sobą, że się w końcu spotkali.
- Tak. Zresztą takich historii to jest więcej z mego życia. W Jastrzębiej Górze w jadalni, przy jednym stoliku, siedział mój kolega szkolny z żoną, z którym razem maturę jednego dnia zdawałem i przy tym samym stoliku siedział drugi kolega, ze swoją żoną, który też w tym samym dniu maturę zdał, i się nie poznali, póki ja im nie zwróciłem uwagi.
- Że to są oni?
- Że to są oni.
- Bo pan też w tym samym dniu zdawał maturę?
- Czterech nas zdawało maturę w tym samym dniu, 13 maja 1939 r. I dopiero ja im powiedziałem, że to oni są. Nie poznali się. Wojna i ten okres zmieniał wszystko.

<przerwa>

- I co o Lwowie mogę jeszcze powiedzieć (z okresu do września 1939 r.)?
- O dziewczynach chciałabym usłyszeć.
- Proszę panią. Dziewczyny to... miałem taką sympatię...
- O lwowiankach niech pan powie...
- ... Bożena Łozińska – ona też była deportowana, tylko ona była deportowana do.. Kotłowski rejon, Archangielskaja obłast’ – w tamtym rejonie działa oddział towarzystwa ‘Memorial’, nazywa się ‘Sowizd’’, sowizd’ to jest... jakby po polsku powiedzieć?
- Sumienie.
- Sumienie. I o nich mi tam jeden pan pisał że napisał tam do nich i oni mu z tego Kotłasu przysłali zaświadczenie z NKWD że takiego i takiego czasu tam siedział. I jeden z naszych kolegów z tow. Inwalidów przyszedł do nas do związku i prosił o papier do pisania, mówił że nie mają papieru, że odręcznie piszą, więc nasz związek posłał im kilkanaście kilo papieru, przyborów pisemnych, a oni nam podziękowali, bardzo serdecznie. Zresztą to jest znane, bo prasa pisała o oddziale ‘Memorialu’ ‘Sowizd’ w mieście Kotłas w obłasti archangielskiej. Proszę panią, więc to była moja sympatia. Myśm się kontaktowali, bo matka była na Uralu, ja byłem w Syberii, w Jakucku, przez członków naszej rodziny, którzy we Lwowie mieszkali. Ona też się ze mną skontaktowała przez tą rodzinę państwa Babiszynów. Ja już miałem zezwolenie na przeniesienie się z tej Syberii do Archangielska. Tymczasem wojna wybuchła niemiecko-rosyjska i to wszystko wzięło w łeb. Straciłem potem już wszelki z nią kontakt.
- To znaczy Lwów był wtedy taką skrzynką kontaktową?

- W stosunku do rodzin, które zostały oddzielnie wywiezione, to skrzynką kontaktową był Lwów i zaprzyjaźnione rodziny z jednej i drugiej strony.
- Bo listy dochodziły wtedy?
- Listy dochodziły, paczki dochodziły. Paczki dochodziły bardzo zdewastowane.
- Polowę zjadano.
- Prawdopodobnie dewastowano, ale dochodziły. I matka moja umarła na Uralu. I po śmierci matki siostra dostała się II Korpusu Andersa i z nim opuściła Rosję. Ja niestety się nie mogłem dostać bo miałem 2700 km do najbliższej stacji kolejowej.
- Do najbliższej stacji kolejowej?
- Tak. Trudno było się dostać, pieniędzy na przejazd nie miałem, dopiero potem trochę zarobiłem będąc poszukiwaczem złota, i było już za późno. No ale tak się losy układają – bo mój rodzony brat poszedł na Węgry 6 listopada 39 r., pod koniec listopada już dostaliśmy od niego pocztówkę z Anglii i on cały czas był w wojsku angielskim.
- Ile miał lat wtedy?
- 23 lata. On był ukończył szkołę łączności w Zegrzu.
- I pan miał jednego brata?
- Jednego brata.
- I też taka duża różnica wieku?
- Cztery lata. Nie, to nieduża.
- Cztery lata. Moja siostra była ode mnie dwa lata młodsza. To siostra przeszła cały szlak bojowy z Andersem.
- A skąd się wzięła u Andersa?
- Kto?
- Siostra.
- Wstąpiła po śmierci matki na Uralu.
- A była z matką?
- Była z matką na Uralu.
- A, bo tam było blisko już do Andersa.
- Ona weszła do Andersa ponieważ serdecznym przyjacielem mojego ojca był gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, bardzo znana postać, i ona się do niego zameldowała, i on ją wcielił do wojska, wyjechała z ZSRR.
- Miała szczęście.
- Miała szczęście. A ja znowu zostałem zmobilizowany pod koniec kwietnia 1943 r. w I dywizji im. Tadeusza Kościuszki gen. Berlinga i z nim już...
- Do Polski.
- Nie. Pod Lenino byłem ciężko ranny i dostałem się do niewoli niemieckiej. Wróciłem do kraju z niewoli niemieckiej.
- Tzn. do niewoli i gdzie Niemcy pana przetransportowali?
- Do Orszy koło Smoleńska. Z Orszy mnie przewieźli do Vaark, to jest na granicy estońsko-łotewskiej. Z Vaark mnie przewieźli do Rygi, z Rygi drogą morską do Gdyni. Z Gdyni do obozu 4D Millberg nad Elbą. Tam mnie wyzwolili Rosjanie 18.IV.1945 r. Taki był mój pobyt w tamtej niewoli. Tzn. przeszedłem Syberię (3 lata), front i potem półtora niewoli. Z niewoli wróciłem do kraju. Ale to było znacznie szczęśliwiej niż w I. wojnie światowej, kiedy trzech bracia walczyli przeciwko sobie – jeden w armii pruskiej, drugi w austriackiej, a trzeci w carskiej.
- Bracia Kochanowscy?
- Nie. Ale tak się zdarzyło.
- Aha. Myślałam, że akurat w tej rodzinie.
- Nie. Mój ojciec był w legionach Piłsudskiego. Brat jego młodszy Teodor też był w legionach Piłsudskiego. Najstarszy brat Władysław był w austro-węgierskiej armii i z austro-węgierskiej armii dostał się do niewoli rosyjskiej. Nawet mam w domu jego kartkę pocztową pisaną z Krasnojarska w 1918 r. do mojej matki. A jeszcze było czterech braci, którzy z ojcem mego ojca wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych jeszcze przed I. wojną światową.
- Czyli w Waszej rodzinie każdy poszedł w przeciwną stronę?
- Każdy poszedł w inną stronę. Nie przeciwną, a w inną.
- Bo brat w końcu wrócił do Polski, czy nie?
- Brat nie wrócił. Był w Anglii, został obywatelem angielskim, potem z Anglii wyjechał do USA, gdzie został.
- Mieszka do tej pory?
- Tak. Mieszka do tej pory.
- Czyli tak jak większość Polaków, którzy znaleźli się w Anglii. Część z nich została, część wyjechała...

- Tak. Notabene siostra wyjechała z mężem, który też się nazywał Kochanowski, którego poznała w Iraku.
- Tak, ale czy to z tego powodu wyszła za męża za niego (śmiech)?
- No nie wiem. Szukała mnie, a on się zgłosił.
- No to bardzo zabawne. To też jakiś jest znak opatrności.
- To też jakiś znak. Poznałem rodzinę tego szwagra bliżej jak ona też była na zjeździe kombatantów w Krakowie. To też lwowska rodzina z dziada pradziada. Bardzo duża to była rodzina, jej męża, mego szwagra, niesamowicie duża rodzina i też rozsypana od Argentyny przez Brazylię, Stany Zjednoczone, Kanadę, Anglię do Polski nawet w dniu dzisiejszym. Zresztą spotkania były wzruszające na tym zjeździe kombatantów. Będąc w Częstochowie żona zobaczyła żołnierza II Korpusu, który miał naszywkę skorpiona, ze sztandarem, i podeszła do niego. Okazuje się, że to jest żołnierz drugiego korpusu, mieszkający teraz w Polsce, ale który był kierowcą czołgu u jej męża.
- I też zupełnie nie wiedziała o tym, a zetknęła się z człowiekiem, który był blisko jej męża.
- Też w Warszawie spotkała po raz pierwszy od 47 r. ojca chrzestnego jej syna, który walczył razem z jej mężem. On przyjechał na ten zjazd kombatantów z Brazylii i tu w Warszawie się spotkali po raz pierwszy od 47 r. Także masy spotkań ludzi, którzy od lat się nie widzieli będąc jednak na emigracji. No i pani widzi, to miała być opowieść o starych czasach, a jak ja to teraz mówię, to mi się nowe ze starym myli.
- Ale to nie szkodzi, bo jak pan to mi wszystko opowiada, to już wiem, jaki będzie ten film o Lwowie. To wracajmy jeszcze do tego Lwowa. W takim razie a co pan pamięta...
- Proszę panią. Co ja pamiętam ze Lwowa?
- Nie z września. Z dziecińczych jeszcze bardziej czasów.
- Znaczący Lwów. Proszę pani. We Lwowie to tak: to był obowiązek być we Lwowie zwiedzić np. Panoramę (Raclawicką), zwiedzić muzeum Ossolińskich – Ossolineum, zwiedzić muzeum Dzieduszyckich, katedrę rzymskokatolicką, katedrę ormiańską, która była cudowna, zwiedzić katedrę greckokatolicką, w Parku Jezuickim, tak zwaną katedrę św. Jura, której metropolitą ukraińskim był słynny Szeptycki, arcybiskup greckokatolicki, a jego rodzony brat był wielkim patriotą polskim, gen. Broni Szeptycki.
- Co pan pamięta... To znaczący co pan lubił robić we Lwowie oprócz zwiedzania? (jako dziecko)
- No, już nie dziecko – miałem wtedy 16, 17, 18 lat. Przede wszystkim myśmy zwiedzali.
- Tylko zwiedzali?
- To były przepiękne parki – na Górze Zamkowej, byłem tam razem z dziewczyną, no już nie pamiętam, tam nas cała czwórka chodziła, Góra Zamkowa. Proszę panią, w młodości człowiek to inaczej odbierał jak dzisiaj, np. panoramę lwowską we Lwowie zwiedzało się w dużej spokojnej emocji, to się zwiedzało jak jakąś relikwię, zupełnie inne wrażenie odniosłem niż będąc teraz we Wrocławiu, zwiedzając dzisiejszą Panoramę. Jakoś mi się wydawało, że oświetlenie było jakieś słoneczne tej panoramy we Lwowie, inaczej się na tą platformę wchodziło, była chyba trochę inaczej usytuowana. Ale to robiło kolosalne wrażenie. Muzeum Dzieduszyckich też robiło kolosalne wrażenie. Kościół Bernardynów na Placu Bernardyńskim robił olbrzymie wrażenie. Może będę świętokradcą, ale byłem teraz na Górze św. Anny w tym klasztorze – te wszystkie marmury są z drzewa, ołtarze, kolumny przy ołtarzach – to jest drzewo namalowane na marmur. Taka tandeta. Nie zrobiło to na mnie takiego wrażenia, jak powiedzmy katedra na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu. Takie wrażenie jak Lwów stary, Wały Hetmańskie, Plac Wanturskiego – tam były takie stare mury to dopiero w Polsce takie wrażenie na mnie zrobiła starówka gdańska. Jeżeli mam być szczerzy...
- A Kraków na panu nie robił takiego wrażenia?
- Jak Gdańsk?
- Jak Lwów. Teraz po wojnie jak był pan tam.
- Trochę inaczej. Wie pani dlaczego – Chyba inna ludność jest tam. Znam Kraków od 45 r. Krakowianie chyba są zimni.
- Zimni?
- Zimni.
- Centusie tak zwani?
- Centusie. Wie pani, natomiast Gdańsk zrobił na mnie kolosalne wrażenie, to jest przepiękna starówka, nie mówię tylko o Długim Targu, ale trzeba zobaczyć Kościół Oliwski, ulicę Mariacką – to jest urocza ulica. Kamieniczki stare.
- No tak. byłem tam.
- To jest coś pięknego.
- Ale to jest przecież zupełnie inna architektura. Jednak Lwów ma tę taką pękatą austriacką architekturę.
- Ja bym nie powiedział austriacką. To jest secesja XIX wieku. Ale rynek to nie jest XX wiek. Rynek to jest np. Czarna Kamienica Jana Kazimierza.
- To ten renesans lwowski.
- Ja się nie znam na stylach. Ale to nie jest ten XIX wiek.

- Nie, nie. Ale w znacznej mierze...
- To jest secesja XIX-wieczna, tak jak pani widzi we Krakowie, jak pani widzi we Wrocławiu.
- I mi się widzi co jeszcze jest pięknego we Lwowie to te położenie, te wzgórza.
- No tak, piękne położenie.
- On jest położony tak że wszędzie są te pagórki.
- Piękne położenie. Teatr lwowski jest przepięknie położony. Kurtyna Siemiradzkiego – to są przepiękne rzeczy. Widzi pani, teraz byłem w Wilanowie i ta pani która oprowadzała to ona akurat nie zna zamku w Podhorcach – posiadłości Jana III Sobieskiego, to był pięknie utrzymany zamek, on był ostatnio w posiadłości księcia Sanguszki, parę kilometrów od niego zamek w Olesku, gdzie urodził się Jan III Sobieski. To były przepięknie utrzymane zamki. Te zamki były utrzymane tak jak dzisiaj Malbork. Przepiękny kościół ojców Dominikanów w Podkameniuni, ze stópką Matki Boskiej. Krzemieńca nie mogę sobie przypomnieć. Ale np. Począjów. Ławra począjowska. To było przepiękne.
- I jeździło się do tych miejsc koleją?
- Do Pokamienia trzeba było samochodem albo koniem jechać, do Oleska też trzeba było końmi jechać.
- A pan jeździł końmi czy samochodem?
- I końmi, i samochodem.
- To mieliście państwo samochód?
- Nie własnym samochodem, pożyczonym.
- Ja słyszałam opowieść pana Bilińskiego o załatwianiu taksówki dla ojca pana.
- We Lwowie?
- Tak. Że kiedyś go wysłał po taksówkę i to było dla niego wielkie wydarzenie, bo był małym chłopcem, którego posłano po sprowadzenie taksówki. Bo oni nigdy nie jeździli taksówką, natomiast pana ojciec (czyli jego wujek) jak przyjeżdżał, to raz czy dwa razy się zdarzyło, że na dworzec jechał taksówką.
- No tak. Proszę panią, to była wielka radość w tych Brodach – gdzie ja mieszkałam – duże garnizonowe miasto. Tam samochody osobowe na palcach można było policzyć – starosta miał, dowódca brygady miał, rzeźnik taki pan Szwałuk miał dwa samochody i szef takiej spółki 'Brody – komisaryczny zarząd państwowy miał samochód. To wszystkie samochody były, jeden autobus chodził dziennie – Brody-Złoczów-Lwów i z powrotem, jeden autobus raz dziennie. No to była wielka frajda jak zajeżdżał samochód, dwa ciężarowe samochody w mieście były. Tuż jak się wojna miała zacząć no to już były motocykle, przyjechały do II Dywizjonu Artylerii Konnej, do XXII pułku piechoty, do II Batalionu 43 pułku piechoty. A tak to była prowincja. Jak manewry były słynne wołyńskie to lotnisko wielkie na Folwarkach Wielkich takie połowe były – tam 30 samolotów lądowało. To to całe miasto się zlatywało, aby zobaczyć ten samolot.
- Ale Brody to były zdaje się słynny ośrodek chasydzki.
- Ja nie wiem czy chasydzki, ale wiem...
- Bo słyszałam o rabinie chasydzkim z Brodów...
- Proszę panią. Ostatnim rabinem z Brodów – nie wiem, ja się na tym nie znam – był pan Steinberg. Słynna rodzina rabinów, a rodzony brat tego rabina Steinberga do wojny był naczelnym rabinem wojska polskiego. To słynna postać. Ja pamiętam z ojcem będąc 2 lutego na imieninach Ignacego, prezydenta RP, byłem na modłach w synagodze (Kućnica to się nazywało wówczas) to on piękną polszczyzną miał kazanie zaczął (nie wiem czy to się tak nazywa). Tak jak dziś pamiętam. 'Dziś cała Polska od rozszumianych fal Bałtyku po zaśnieżone szczyty Tatr obchodzi imieniny najdostojniejszego obywatela Polski, prezydenta Ignacego Mościckiego – przepięknie mówił po polsku. I to była rodzina tych rabinów – Steinbergów.
- A w Brodach jaki procent to był (Żydów)
- Proszę panią. Brody to bardzo stare miasto, które niedawno obchodziło tysiąclecie istnienia. Nie pamiętam już kiedy, po Kongresie Wiedeńskim czy później – było jednym z trzech miast w Polsce, które było wolne, królewskie i stołeczne, bo Brody były wolnym miastem, w pewnym okresie, za czasów austro-węgierskich. Miasto to liczyło do 70 tys. Mieszkańców. Ono się spaliło, już nie pamiętam kiedy, w 1870 czy 1878 r. Ono było położone blisko granicy rosyjsko-austriackiej, o dużym przemyśle spożywczym – młyny, kaszarnie, niesamowity przemysł tam szedł.
- Tak, bo tam granica była wtedy.
- 4 km były między Brodami a Radziwilowem.
- Ja sobie przypominam teraz, skąd te Brody. Przecież występują Brody bardzo często u Szolem Alejchema w powieściach.
- No tak, proszę panią.
- Bo tam Żydzi przechodzili bardzo często przez te Brody w tą i z powrotem.
- Tak. Podobno z Brodów pochodzi ten który napisał Błaszany Bębenek, Rot.
- Nie, Józef Rot to jest inny pisarz.
- No to Józef Rot. On to na pewno z Brodów pochodzi.
- To jest austriacki pisarz.

- Austriacki, ale on pochodzi z Brodów.
- No, bardzo możliwe, że pochodzi z Brodów.
- Zresztą jeszcze jeden poeta i pisarz, Józef Korzeniowski (nie Konrad Korzeniowski) też z Brodów pochodzi. Tam był dom, takie małe muzeum, gdzie on mieszkał.

(przerwa)

- Ojciec naszych matek (to znaczy Wacka i mojej) był werkmistrzem, majstrem w zakładach naprawczych kolejowych we Lwowie. Tyle że werkmistrz od dzisiejszego majstra różnił się tym, że miał kolosalny autorytet, że chodził w tużurku w święta, że zawsze miał elegancki krawat i stojący kołnierzyk. Babcia nam opowiadała, że jak on umarł, to było chyba z 50 tys. ludzi na pogrzebie.
- O, to pięknie.
- Natomiast wykształcił synów, ale to już babcia wykształciła, bo wszyscy oni skończyli studia, najstarszy brat naszej matki skończył studia akademickie, drugi – Ernest Bisanz skończył studia akademickie, trzeci Fryderyk, który umarł przerwie, też. Każdy z nich był oficerem, najpierw armii austriackiej, potem w polskiej, bo musieli odsłużyć (rezerwowymi oficerami byli), aczkolwiek ten najstarszy, Ernest, był zawodowym żołnierzem, został w 1926 r. zdymisjonowany przez Piłsudskiego, po zamachu. Ernest Edward Bisanz był głównym kontrolerem wspólnoty interesów między Katolikami (?), Fryderyk Bisanz z kolei pracował u Mikolasza we Lwowie. Ernest to mówilem był wielki przemysłowiec we Lwowie
- A jak to było z wykształceniem matek?
- Matek? Studia pokończyły.
- Studia?
- Nie, nie studia. Tylko maturę. Wacka matka (*mojego dziadka*) wyszła za (jak się nazywa ten co parowóz prowadzi) maszynistę kolejowego.
- Aha, to był maszynista kolejowy?
- On był maszynistą kolejowym. Ale dosłużył się że był naczelnikiem parowozowni w Rawie Ruskiej, jednej z trzech najważniejszych w Polsce.
- A jak to się stało, że ona z takiej dobrej rodziny, i za kierownika parowozów wyszła?

Wywiad z moim dziadkiem, Wacławem Bilińskim (początek lat 90.), prowadzony przez moją mamę.

- Chodzi o bardzo osobiste wspomnienia?
- Tak, bardzo osobiste.
- Więc z tego co dobrze pamiętam to pierwsze mieszkanie, mieszkaliśmy przy ulicy Szeptyckich, niedaleko kościoła św. Elżbiety, i tam chodziłem do szkoły im. Konarskiego.
- Szymona Konarskiego.
- Nie pamiętam.
- Mniejsza z tym. Konarskiego.
- Konarskiego, tak (śmiech). Pamiętam taki moment, który mi utkwil w pamięci to to że będąc w drugiej klasie, kiedy mieliśmy zajęcia praktyczne, robiliśmy coś z papieru, pomalowałem oparcie kolegi, który siedział przede mną, kleił, i później go przysunąłem, i on się przykleił. To spowodowało to że na drugi dzień musiała mama przyjść do nauczycielki i tam taki Pater Noster dostała.
- Czy ta szkoła była publiczna? Była dużo płatna?
- Nie, to była szkoła bezpłatna, przy ul. Leona Sapiehy róg ulicy (nie pamiętam już jak się nazywała) w każdym razie prowadziła do takiego bazaru, takiego targowiska.
- Co na tym targowisku można było kupić?
- Na tym targowisku było wszystko. Tam dojeżdżali chłopci, tam codziennie (tzn. poza świętami), ale prawie codziennie był bazar, dzień targowy był w piątek, to wtedy bardzo dużo przyjeżdżało. Pamiętam takie bardzo zabawne zdarzenie też takie rodzinne, nie związane ze Lwowem...
- A jeszcze chciałam do tego bazaru. Co tata pamięta z bazaru. To byli ukraińscy chłopci, czy Polacy też tam sprzedawali?
- I Polacy, i Ukraińcy, tylko w większości...
- Czy tata coś tam kupował?

- Ja nic nie kupowałem, bo jeszcze za mały byłem, ale rodzice kupowali tam, na przykład śliwki. I to było w jedną stronę, szkoła Konarskiego i dalej ten bazar, w przeciwną stronę przy ul. Szeptyckich była fabryka Brandta, która produkowała wyroby czekoladowe, czekolady, cukierki itd. Tak jak dziś pamiętam w 36 r. był tam strajk – no i tak strasznie ci ludzie tam wtedy stali, to mi tak utkwiło w pamięci.
- Przed fabryką stali?
- Przed fabryką, bo to był taki strajk okupacyjny, nie wiem jaki. W każdym razie policja w takich czarnych hełmach chodziła. Do tego kościoła św. Elżbiety chodziliśmy raz w tygodniu i na ten kościół spadły pierwsze bomby w 39 r. Bo 1 IX 39 r. były dwa naloty na Lwów, jeden na Skniłów, tam zbombardowano i zniszczono chyba most oraz lotnisko, i potem kilka czy kilkanaście bomb spadło na miasto, m.in. w ten rejon. Część dachów tego kościoła – to był kościół gotycki, bardzo wysoki, potężny – została zerwana i 1 IX po południu pół Lwowa przyszła oglądać jak to wyglądają leje po bombach. Nieco dalej, jak szło się ul. Leona Sapiehy od tej szkoły, była po lewej stronie Politechnika Lwowska. Politechnika to mnie mało interesowała, tyle że tamtędy się szło do parku, ale naprzeciw tej politechniki był sklep Englerta, to była bardzo znana cukiernia, a więc lody, jakieś ciastka itd.
- A były jakieś specjalne ciastka, takie charakterystyczne dla Lwowa? Których gdzie indziej ich nie było?
- Taki charakterystyczny to był sklep Zaleskiego na ul. Akademickiej, ul. Akademicka to było jakby przedłużenie ul. Legionów, taki korso, tam spacerowano i tak dalej, tam był duży sklep Zaleskiego.
- I jakie Zaleski miał słodczyce?
- Wszystkie, to znaczy podobnie jak Wedel, to była cukiernia nie produkująca masowo czekolady i tak dalej, ale cukierki... Pamiętam ten sklep Zaleskiego, on w latach 39-41 też był czynny, w okresie kiedy Ruscy byli we Lwowie, tylko był już nie prywatny, a... I pamiętam, że jak Niemcy zaatakowali 22 VI 41 r. ZSRR to ja pracowałem tam przy placu... róg Akademickiej, Romanowicza itd. To dostaliśmy trzymiesięczne wypłaty. Ja oczywiście poszedłem, wykorzystałem to, kupiłem na zapas cukierki czekoladowe, chyba siedem czy osiem kg, w domu mnie pobłogosławiono za to, ale później się okazało że w czasie okupacji jakiś tam czas przydały się.
- I dalej za Politechniką był park?
- W dół był dalej ogród św. Jura, św. Jura to była cerkiew, potężna cerkiew greckokatolicka. Bo we Lwowie były trzy metropolie – greckokatolicka, rzymskokatolicka i ormiańska.
- Czy tata z ciekawości to zaglądał do któregoś z tych kościołów innych wyznań?
- Owszem, w katedrze św. Jura byłem może dwa, trzy razy, więcej nie. W katedrze ormiańskiej byłem kilkakrotnie. Natomiast w katedrze rzymskokatolickiej dość często i w tej katedrze rzymskokatolickiej... ponieważ mój katecheta był właśnie z tej katedry, który dojeżdżał na Łyczaków. Chodziłem do gimnazjum nr 564, szóstego gimnazjum² im. Stanisława Staszica i on tam był naszym katechetą. W pierwszej gimnazjalnej trzeba było m.in. odsłużyć jako ministrant w czasie mszy i służyłem jemu w katedrze przy głównym ołtarzu. To znaczy to było że tak powiem obowiązkowe odsłużenie, a w ogóle to należałem do koła ministrantów przy kościele Franciszkanek przy ul. Kurkowej już na Łyczakowie.
- A czemu tam do koła ministrantów?
- Dlatego że to było najbliższe do gimnazjum, do którego chodziłem i tam myślny należeli i tam bardzo wygodnie było, dlatego że spotykaliśmy się w zakrystii, czuliśmy się tak jak u siebie w domu, bo było nam bardzo dobrze, bo były przede wszystkim wina mszalne, do których był swobodny dostęp.
- A czy chłopcy (koledzy taty) wyśmiewali się z innych wyznań, np. prawosławnych, czy coś takiego było w klasie?
- Nie. Nie.
- A prawosławni też chodzili z tatą do klasy?
- Owszem. Klasa moja 1. gimnazjum liczyła ok. 50 uczniów (bo to były tylko męskie gimnazja). W tym było gdzieś – trudno mi powiedzieć dokładnie – ale mniej więcej 1/3 Rzymskokatolików, 1/3 Żydów i gdzieś, może trochę mniej niż 1/3, Ukraińców.
- Ukraińców było mniej niż Żydów?
- W gimnazjum tak. Ich więcej było w ogóle ale to raczej były biedne rodziny.³ I oni już... W gimnazjum płacono się czesne – 220 zł rocznie, 110 zł za pół roku. I za pierwsze pół roku trzeba musiało się zapłacić, z drugiego można było być zwolnionym. W moim przypadku tak było, że dobrze się uczyłem, także za pierwszy rok tylko 110 zł zapłacił ojciec. Obok gimnazjum był duży budynek – to była chyba jedyna w województwie, albo może na kilka województw, szkoła (?), a naprzeciw., po drugiej stronie, był szpital wojskowy. Jeśli pójść obok tego kościoła, tą ulicą Kurkową trochę dalej, był tzw. Kaiserwald, no miał kilkanaście hektarów, tak że to był duży obszar, to były wzgórza dominujące nad Lwowem poza Wysokim

² Przed wojną w Polsce gimnazja miały dwa numery – ogólnokrajowy oraz miejscowy.

³ Lwów liczył w 1931 r. 312,2 tys. mieszk., z tego 50,4 % Polaków, 32 % Żydów, 16 % Ukraińców, 1,6 % innych.

Zamkiem, który był wyższy. I tak śmiesznie, nazywały się Kaiserwald, czyli mówiąc po polsku cesarski las, lecz drzew tam nie było.

- A co tam było?
- To były wzgórza... Trawa tam była, jakieś krzaki. Tam często chodziliśmy na spacer z ojcem, bo to były pluca takie, znaczy się duży obszar nieprzemysłowy, no i tam spotykaliśmy (bo obok gdzie ja mieszkałem, powiedzmy 400 m. Dalej, były koszary XIV Pułku Ułanów Jazłowieckich) i oni tam przychodzili na ćwiczenia, często ich obserwowaliśmy. Tam z ojcem spacerowaliśmy. To był Kaiserwald. W czasie wojny tam było dużo pozycji artylerii przeciwlotniczej, wstęp tam był wzbroniony. Wracając jeszcze do ...
- Czy to były czyste tereny, chodzi o to, czy były zaśmiecone, nie pamięta tata?
- To znaczy chyba był czysty, bo tam mało ludzi bywało. Kaiserwald był czysty, bo tam było mało ludzi, tam to były takie nieurodzajne pola, tzn. wzgórza dość wysokie. Natomiast jeśli chodzi o miasto, o ulice, to na pewno Poznań był czystszy od Lwowa, to nie ulega wątpliwości.
- Dużo biednych ludzi to i brudno.
- Lwów nie miał rzeki tzn. miał rzekę Peltew, która została w końcu XIX w. przykryta i płynęła kanałami pod ziemią. We Lwowie był klimat taki bardziej kontynentalny, czyli ostre zimy, dużo śniegu. I pamiętam właśnie że często te kanały, tzn. te płyty okrągłe, metalowe wyciągano i ten śnieg z samochodów do Peltwi zsuwano. Także nie trzeba było daleko wozic śnieg przy oczyszczaniu miasta. Ale temperatury tam były niskie, bo bardzo rozpowszechnione były takie paleniska, mniej więcej metr długie jak i 30 m. szerokie, takie pręty metalowe, i tam ogień się żarzył, taki węgiel żarzący – to przy niektórych przystankach stało.
- Żeby się można było ogrzać.
- Tak. Ci, którzy tam pracowali gdzieś musieli się grzać. To jednak te temperatury rzędu -30 to bywały we Lwowie.
- I mimo to pracowali ludzie w takich temperaturach?
- No pracowali ludzie. Oczywiście.
- A w rejonie, gdzie tata mieszkał...
- Na Łyczakowie.
- Na Łyczakowie czy mieszkali tylko Polacy?
- Nie. Mieszkali różni ludzie. Np. nasze ostatnie mieszkanie - mieszkaliśmy przy ulicy Piaskowej to tam były trzy mieszkania, dozorczyni czwarty miała taki pokój w piwnicy i była Ukrainką. Na parterze mieszkali Żydzi podający się za Polaków. Na pierwszym piętrze myśmy mieszkali, Polacy, na drugim piętrze Ukraińcy. Ten Żyd nazywał się Kon, Ukraińcy nazywali się Popowicze, dozorczyni nie pamiętam jak się nazywała.
- Przepraszam, a czy stosunki między tymi rodzinami były dobre, czy raczej nie bardzo?
- Stosunki były, ja bym powiedział – lepsze niż poprawne.
- To znaczy nie pamięta tata jakichś konfliktów?
- Konfliktów ani antagonizmów nie pamiętam.
- Ale czy tacie zdarzyło się kiedyś pokłócić, nakrzyczeć na Żyda 'Ty Żydzie!' czy coś takiego?
- Nie, takich przypadków nie pamiętam. Myśmy się w szkole, w gimnazjum, przez wiele lat trzymali taką czwórka, dwóch kolegów Polaków, z którymi kontakty jeszcze teraz utrzymuję, a czwarty to był Żyd, Millstein się nazywał. I razem stanowiliśmy taki kwartet jakby, siedzieliśmy dwóch i dwóch w ławkach.
- W gimnazjum?
- W gimnazjum, tak. To były ławki dwuosobowe.
- Potem jakiś kontakt tata miał z tym Millsteinem?
- On zginął w czasie wojny.
- Ale zanim zginął?
- Nie.
- Czyli zaraz po maturze to się urwało?
- Ja nie zdawałem matury przed wojną. Ja skończyłem drugą gimnazjalną i wtedy wojna wybuchła. I z nim kontakt urwał się w 1941 r. Bo póki byli Rosjanie to była normalna nauka w szkole, tyle że według programu rosyjskiego, radzieckiego ale w większości byli ci sami nauczyciele, sprowadzono tam... był komisarz polityczny, nazywała się Kotowa, wprowadzono nam naukę historii WKP(b) i konstytucji itd. I wycofano trochę literatury polskiej, ale poza tym było...
- Mniej-więcej normalnie?
- No, grono nauczycieli poza katechetą to właściwie wszyscy byli.
- No to jak, 39-41 r. to tata mógł skończyć maturę do 1941 r.
- W 41 r. to ja byłem dopiero w czwartej gimnazjalnej.
- Jeszcze dwa lata nauki?
- Jeszcze dwa lata. I w r. 1941, na początku, przerwałem naukę i podjąłem pracę.
- Nie było już pieniędzy?

- No było trudno. Ojciec dostawał emeryturę, ale była niewielka, brat pracował w fabryce, ja rozpocząłem pracę.
- I co to była za praca?
- Pracowałem w firmie, która się nazywała 'Sojuz-pieczat', to jest 'Ruch' jak gdyby po polsku. I pierwsza moja praca to była praca gońca. Bardzo mi się to podobało, bo dostałem kartę przejazdu na wszystkie linie autobusowe i tramwajowe bezpłatnie, jak dostałem kartę to chciałem objechać wszystkie linie od początku do końca, to byłoby wielogodzinne, ale chyba dwie linie to tak objechałem.
- Kto z tatą pracował? Czy jacyś koledzy ze szkoły też pracowali?
- Tam akurat nie. Tam sekretarką była pani Cerpisz, ale to rzymskokatolickie nazwisko. Miała bardzo miłą córkę, trochę sympatyzowaliśmy, tak. Tam dyrektor, główny księgowy, itd. to byli Rosjanie. Dyrektor to nie był sympatyczny, ale główny księgowy, taki dość potężnie zbudowany, Nowikow się nazywał był sympatyczny. I muszę powiedzieć, że jako goniec pracowałem tam miesiąc i on tam upatrzył sobie mnie, i powiada, że nie powinienem być gońcem i zrobił mnie pombuchem, tzn. pomocnik księgowego.
- Ile tata miał lat wtedy?
- Wtedy?
- Szesnaście.
- No tak, ponad szesnaście. Byłem tym kombuchem, jednocześnie dał mi pracę taką...
- Kombuchem (śmiech)
- Kombuch. To jest młodszy księgowy. No ale przynajmniej już się tam czegoś uczyłem. I równocześnie żeby więcej zarobić, to pracowałem jako tzw. rotatorszczyk, tzn. powielaczowy po polsku mówiąc. Taki powielacz był ręczny, prawda, taki walek, farby się malowało, ta matryca, pisało się na papierze woskowym bez taśmy, na maszynie do pisania, ona (?) że tak powiem i później to się zakładało i za każdym razem trzeba było tym walkiem przejechać farbą. Tak więc na tym dorabiałem, a najwięcej to z jeszcze jednym w moim wieku rówieśnikiem, dostawaliśmy pracę akordową polegającą na tym, że trzeba było takie kwitariusze, po 100-150 stron przebić, przesnurować i zalakować. A więc zmechanizowaliśmy sobie jak na ówczesny czas bardzo dobrze, bo tylko młotek, gwóźdź, pach-pach, dwa uderzenia, dwie dziury, tak aby ten sznurek przeprowadzić, lak lamaliśmy do elektrycznego garnka (grzejnika elektrycznego) i później nalewaliśmy tylko, pieczątką w wodzie zimnej i tak to trwała ta zabawa. Tam spotkał mnie 22 VI napad Niemców, przychodziłem tam do pracy bo to był obowiązek (właśnie tam dostałem te trzymiesięczne pobory), ale pamiętam, że z biura (to był róg Romanowicza róg Akademickiej) żeby przejść do schronu trzeba było przebiec przez niewielkie podwórze i taki był dość silny nalot niemiecki (chyba w drugim czy trzecim dniu) i myśmy nie zdążyli wybiec z klatki i już nie można było przejść przez to, bo na tym podwórzu tak jak grad padały odłamki tych pocisków lotniczych. Tak staliśmy przyciśnięci do ściany w tej klatce. Obok miejsca, gdzie pracowałem, była ulica Batorego (przed wojną tak się nazywała). Ulica Batorego znana była z tego, że można tam było legalnie, ale nie oficjalnie, kupić różnego rodzaju ściągę do szkoły. Tam było dużo antykwariatów, sklepy tego typu tam zgrupowane były, więc tam zaopatrywaliśmy się w takie czy inne książki do gimnazjum.
- Czy te ściągę były takie, że można je było gdzieś przykleić?
- Nie, to nie były takie ściągę, to były po prostu teksty jakiegoś, skróty takie.
- Czy to się nazywało bryk?
- We Lwowie to się nazywało ściągawka.
- Ściągawka po prostu, tak. W Warszawie też się tak nazywa.
- Ale to nie były takie, że można było tam... To znaczy można było coś pozginać, tam tego, ale...
- Format był jednakowy.
- Format takich małych zeszyków.
- Czy to były te sklepy... Głównie one były prowadzone przez Żydów, czy nie?
- Trudno mi powiedzieć, nie orientuję się. Ale wiem, że gdy szedłem ze szkoły, z gimnazjum do domu to miałem sklep właśnie taki sklep papierowy, ale w szerokim tego słowa znaczeniu. To prowadził Żyd, Szynfeld. I było bardzo wygodne, bo jak nie miałem pieniędzy, to on zapisał w zeszyku, bez żadnych problemów.
- Ale przy następnym zakupie tata musiał zapłacić.
- Przy następnym zakupie czy po kilku zakupach. Znaczący się rzadko korzystałem z tego, ale prawdę mówiąc jak nie miałem pieniędzy ze sobą... można było kupić coś ciekawego. To był taki dość dobrze zaopatrzonej (sklep). Naprzeciw troszkę wyżej był kościół św. Antoniego, i obok kościoła było targowisko lyczakowskie, tam już częściej chodziliśmy, tam codziennie przychodziłem.
- I co na tym targowisku? Działo się coś ciekawego?
- Było trochę budek, a większość ludzi to były kobiety, czasami ci rolnicy przyjeżdżali. W piątek zwykle to był duży targ. Naprzeciw tego sklepu Szynfelda, ale z drugiej strony, bo on był w narożnym budynku to był szpital kliniczny, który pamiętam bardzo jak przez mgłę... Nie wiem czy cię interesują takie rozliczenia...
- Tak, tak, właśnie bardzo mnie interesują.

- Przez mgłę pamiętam, bo miałem trzy lata, jak zachorowałem na tyfus, tzw. para-tyfus, to znaczy dwukrotnie powtarzający się i siłą faktu oddano mnie do szpitala klinicznego - to było zakażenie dla dzieci. Właśnie tam się on mieścił.
- To bardzo niebezpieczne przy tak małym dziecku.
- No, tak się zdarzyło.
- Ale tata przeżył.
- Przeżyłem. I teraz wiem z opowiadań, że jak jechałem z rodzicami, już z tego szpitala, tam miałem prawdopodobnie jakąś ostrą dietę chyba, bo byłem tak spragniony, zgłodniały, że jak okruszynka jakaś z kolan spadła to ja schodziłem i podnosiłem ją.
- A włosy były ogolone, tak? Bo w szpitalach to golili do skóry. Tego tata nie pamięta?
- Nie pamiętam.
- A z samego szpitala, jakieś wspomnienia?
- Nie. Wiem tylko że zakratowane, itd. tak. Natomiast więcej pamiętam – nieco dalej był szpital tzw. powszechny, w którym matka moja leżała, dość długo leżała i zmarła tam.
- A na co?
- Na komplikacje po usunięciu woreczka żółciowego. I to był szpital, który pierwszy w świecie posiadał oświetlenie naftowe. Właśnie aptekarz lwowski, Łukasiewicz, był twórcą lampy naftowej i ropy.
- I to był pierwszy szpital...
- To był pierwszy na świecie szpital oświetlony lampami naftowymi.
- Miał jakąś nazwę oprócz tego, że szpital powszechny?
- Miał jakąś nazwę, ale nie pamiętam.
- Pewnie od jakiegoś świętego, bo to zwykle szpitale...
- Nie pamiętam tego.
- No to można sprawdzić.
- I nieco dalej była szkoła powszechna, do której chodziłem, bo wcześniej mówiłem o gimnazjum, gimnazjum było na Łyczakowskiej, i ta szkoła powszechna była przy ul. Głowackiego. A Głowackiego odchodziła od Łyczakowskiej. No, to wszystko było w promieniu kilku minut.
- Czy w tej szkole powszechnej też było jak w gimnazjum, taki stosunek 1:1:1.
- Chyba tak.
- Czy najwięcej było Ukraińców?
- Nie mogę powiedzieć. Nie pamiętam tego.
- A Ukraińcy mieli swoje szkoły powszechne też, takie z wykładowym językiem ukraińskim?
- Chyba tak.
- Ale na Łyczakowie chyba nie było.
- Nie pamiętam takiej szkoły. Ale we wszystkich szkołach polskich, podstawowych szkołach, powszechna to się nazywała, uczono języka ukraińskiego.
- Czy tata też się uczył?
- Też się uczyłem. Wszyscy się uczyli języka ukraińskiego.
- A ile to było godzin w tygodniu? Nie pamięta tata?
- Nie wiem, ile było godzin w tygodniu, ale wiem, że uczyliśmy się dwa lata.
- A teraz tata coś pamięta? Potrafi tata czytać po ukraińsku czy nie bardzo?
- No czytać to mogę. Później trochę zabalaganil język rosyjski, myśmy się go uczyli. Np. po polsku rękawiczka, po rosyjsku perczatka, po ukraińsku rukowicza.
- Rukawicza? Po rosyjsku też są rukawicy.
- No, to takie duże, ale takie rękawiczki to perczatki.
- A jeszcze chciałam zapytać o taką rzecz. A żeńskie gimnazjum było blisko, czy daleko od waszego gimnazjum?
- Chyba daleko, bo ja nie pamiętam żeńskiego gimnazjum.
- Czyli nie było żadnego zaprzyjaźnionego żeńskiego gimnazjum, takie go na zabawy...
- Nie, nie. Nasze gimnazjum było małe, nawet nie miało sali gimnastycznej. Na gimnastykę chodziliśmy do sali 'Sokoła', była taka organizacja 'Sokół', i tam mieliśmy tą gimnastykę. Także to było nie najwygodniej, ale tak było. Ze szkoły powszechnej to pamiętam, że w odróżnieniu od tej chwili najlepszym stopniem to była jedynka, dwójka to było dobrze, trójka dostatecznie, czwórka niedostatecznie. I uczący nas opiekun klasy, prof. Michalkiewicz, bardzo wymagający polonista, wprowadził jeszcze jedynkę z koroną – to był jakby celujący stopień.
- I z czego tata miał jedynkę?
- To znaczy jedynka z koroną nie była na świadectwie stawiana, tylko jako stopień za odpowiedź. I ja w ogóle to miałem nie najgorsze stopnie. W pierwszej, drugiej gimnazjalnej nie miałem żadnych dostatecznych, tak jak na egzaminie maturalnym już po wojnie robionym, bez żadnej trójki, wiele bardzo dobrych. Ale ten Michalkiewicz to był człowiek z charakterem, konsekwentny. Natomiast w gimnazjum opiekunem klasy

również był – tak się złożyło – polonista, prof. Krawczyk, polskiego i łaciny uczył, bardzo taki solidny. Natomiast dobrym pedagogiem był profesor Holcer, uczył języka niemieckiego, ale w okresie okupacji bardzo nieciekawie się pokazał jako volksdeutsch, czynnie działający itd. On w ogóle to Austriakiem był. No, co jeszcze...

- Jeszcze dalej to wracając do tych ulic. Bo to bardzo jest ciekawe jest jak tata wędruje po tych ulicach i opowiada po kolei jak tam się chodziło między domami.
- No więc jak przy Leona Sapielhy było gimnazjum i liceum... to znaczy nie przy Leona Sapielhy, tylko Łyczakowskiej, Leona Sapielhy to była tam przy kościele św. Elżbiety, to tam miałem kilka różnych dróg do domu, więc z tym kolegą to tą, jak z tym to inną. W każdym razie na prawo od ulicy Łyczakowskiej była ulica Pijarów, przy tych Pijarów na początku był ten szpital (ona równoległa do Łyczakowskiej była).
- Ten szpital powszechny?
- Pewnie był szpitalem Pijarów.
- Nie, nie był Pijarów.
- A kościół Pijarów tam był?
- Gdzieś był, ale nie wiem gdzie. Ale gdzieś przy tej Pijarów mieszkał kolega, bardzo często tam u niego bywałem i on u mnie bywał, i ojciec tam bywał i jego matka bywała u nas. To było mieszkanie z ubikacją na piętrze, i piętrem, tak, blok był duży, tzn. kamienica duża, wielopiętrowa, ileś tam mieszkań. Wejście przez takie ganki, wchodziło się to była kuchnia i później pokój, duży pokój.
- Jeden pokój na całą rodzinę?
- Na całą rodzinę. Tzn. tam mieszkała matka jego, on, brat, trójka, brat starszy.
- A ojciec?
- Ojciec nie żył. Ona była wdową, a mój ojciec był wdowcem.
- Tzn. to już było w czasach, kiedy mama zmarła.
- Tak. Mama mi zmarła jak byłem w drugiej klasie.
- Czyli jeszcze za czasów Rosjan.
- Przed wojną (zdziwienie).
- Tzn. w klasie poprzedniej.
- Tak, tak. Moja mama zmarła kilka dni, no może nie dni, a tygodni, po śmierci Piłsudskiego. Bo nawet tak jak dziś pamiętam że mówiono żeby nic nie mówić manie, że Piłsudski umarł, bo po co ma się denerwować.
- Co innego ją denerwowało. W 35-ym roku zmarła.
- W 35-ym. No to było po nim. I później już gospodarstwem całym zajmował się ojciec, prowadził je będąc na emeryturze. Też mieszkaliśmy w trójkę i jak była gospośnia to ona robiła, tak. Co jeszcze można powiedzieć...
- Byliśmy na ulicy Pijarów.
- Przedłużeniem Pijarów to akurat wychodziło się na ulicę Piotra i Pawła, która była prostopadła do Łyczakowskiej i Pijarów, i tam był Cmentarz Łyczakowski. Było blisko do Cmentarza Łyczakowskiego.
- A na cmentarza tata często chodził? Bo przecież tam chyba mama leżała?
- No chodziliśmy stosunkowo często. Tzn. nie tylko na Zaduszki, nie tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, ale i przy innych okazjach. Tzn. dokładnie wiem, prawda, bo byłem tam w 68-ym roku to od razu trafiłem.
- A czy jakieś groby robiły na tacie wrażenie? Czy jakieś pamięta tata?
- Tam chodziliśmy – była taka tradycja, z okazji tych Zaduszek itd., na cmentarz obrońców Lwowa, to było Corso że tak powiem, wszyscy tam przychodzili. A z tych grobów no to były tam groby i Marii Konopnickiej, itd., ale największy, najbardziej okazały to był Iwan Franko. Bo to Ukraińcy na nim też leżeli, Grekokatolicy – wspólny cmentarz był. Znaczący były we Lwowie dwa duże cmentarze – cmentarz Łyczakowski, największy, i na drugim końcu miasta cmentarz Janowski, w kierunku na Janów. Łyczaków był w kierunku na wschód, a Janów w kierunku na zachód. Ale to był mniejszy cmentarz.
- A czy tata pamięta jak pierwszy raz poszedł na ten cmentarz? Bo zawsze dzieci to się boją chodzić na cmentarz.
- Pierwszy raz... nie pamiętam tego.. Prawdopodobnie to było przy jakichś uroczystościach powstania styczniowego, czy raczej listopadowego, bo wtedy tam były takie uroczystości, z pochodniami się chodziło i...
- No właśnie. To ciekawe musiało być. To co roku były takie uroczystości z pochodniami? Na cmentarzu?
- Nie wiem, czy co roku. Ale byłem raz z ciotką swoją (już matka nie żyła) i z braćmi ciotecznymi to to było właśnie z okazji rocznicy powstania listopadowego – to był taki capstrzyk, z salwami honorowymi, kampania jakaś honorowa szła, i dużo tam tych ogni.
- No to po południu musiało być. Jak już było ciemno.
- Wieczorem. Już wieczorem było, piąta szósta.
- No tak. Wieczory już są wtedy wczesne.
- To było na tzw. Wałach Hetmańskich.

- A czy jakieś uroczystości na Cmentarzu Orląt też były, w których tata brał udział?
- Były, ale ja nie uczestniczyłem.
- Były jakieś inne obyczaje, czy takie same, jakie do tej pory panują, jeśli chodzi o zapalenie zniczy.
- Takie same, jak i tu. Takie same i kwiaty, i znicze, i chryzantemy. Tylko że kalendarz polski i ukraiński to dwa tygodnie różnicy. Tak więc tam, gdzie były zaprzyjaźnione rodziny, to najpierw zapraszali Polacy
- A potem Ukraińcy?
- Później, dwa tygodnie później, Ukraińcy.
- To było bardzo wygodne. Wiele świąt było.
- Tak, zwłaszcza że oni bardzo dobrze robili to, co się nazywa kutia, kutia – to jest taka masa z pszenicą gotowaną, dużą ilością miodu i maku, i to się tak trze, i później tam nawet jakieś były zabobony, że jak się rzuciło łyżeczką do góry, ile tam się przyczepiło do sufitu, z czego rodzice oczywiście nie byli uszczęśliwieni, bo tam płamy zostawały z tego maku.
- Ale robiliście tak właśnie?
- Bywało tak.. Pamiętam jak dziś, że rzucaliśmy. Ale kutia to w ogóle była bardzo dobra, bo to był miód z makiem.
- A jeszcze jakieś inne potrawy ukraińskie tata pamięta?
- To nie ukraińska, to taka wspólna.
- No, to taka kresowa potrawa.
- Oni to robili bardzo dobrze, ale u nas też się zawsze robiło kutię, nie było świąt bez kutii.
- U nas też się zawsze robiło kutię, ale są różne warianty kutii.
- Bardzo rozpowszechniona była tzw. mamalyga, czyli kasza kukurydziana.
- No to to jest ukraińska potrawa, ta mamalyga.
- No tak, ale myśmy to jadali. Mamalyga była tańsza niż ziemniaki. Częściej się ją jadło. Poza tym bardzo rozpowszechnione były różnego rodzaju pierogi. Właściwie pierogi były ze wszystkim – z serem, kapustą, mięsem, jagodami, z jabłkami, nawet z pomarańczami jak się komuś dobrze powodziło.
- A zupy? W ogóle jadano się zupy?
- Jadano się zupy, tak. Takie, jak i teraz. Rosół, barszcz. Nie taki, jak to robią, to był barszcz z fasolą, śmietaną, ale prawdziwą, białego koloru, itd. Także teraz mniej-więcej to samo się jada. Jabłeczники też były bardzo popularne.
- A czy tata przypomina sobie jakieś święta poza domem, które szczególnie tata zapamiętał? Jakies święta, np. urodziny.
- Pamiętam takie, jak mama zmarła to nas było trzech – ojciec, brat i ja. Więc dość często myśmy na święta wyjeżdżali do wujostwa.
- Do których wujostwa?
- Kochanowskich.
- Oczywiście wieźliśmy ze sobą wódkę, i tamto, i siamto, bo ojciec przestrzegał tego bardzo – jak ja byłem gdzieś przez miesiąc na wakacjach po prostu płacił za mnie, żeby nie było żadnych kłopotów.
- A gdzie oni mieszkali?
- Oni mieszkali 80 km od Lwowa. I pamiętam raz jechaliśmy na takie święta, brat miał tam walizkę – jakieś wódki, torty, już nie pamiętam co, a ja miałem trzy łodzie podwodne zrobione z papieru, kupowało się to, 10 gr. chyba kosztowało.
- Wydrukowane, i trzeba było wyciąć i skleić?
- Wydrukowane, i ja już miałem te łodzie sklezione, kłopoty miałem z przewiezieniem tego. I przyjechaliśmy tam...
- Się jechało pociągiem?
- Pociągiem, tak. Z bratem ciotecznym, Jasiem, bardzo się lubiliśmy i chyba z całej rodziny to najbliżej byliśmy. Pamiętam właśnie na te święta jeszcze druga rzecz to był tam oblewany poniedziałek. Pamiętam Haneczka czymś nas oblała, a później my z Jasiem – on wpadł na taki pomysł, że podłączyliśmy wąż gumowy do kranu w łazience i tym zaczął przyskać... Później awantura była, to znaczy wuj był niezadowolony, bo po schodach ciekła ta woda. Różnie to bywało. Tam z bratem... Np. taki był moment z tym Jasiem był pies u nich, jamnik, Pikuś się nazywał. I w czasie tych świąt chcieliśmy z Jasiem zobaczyć, jak pies reaguje na alkoholem. I trochę rozcieńczyliśmy, żeby nie piekło, i jemu do gardła kieliszek alkoholu jednak puściliśmy. Później dostał zakąskę, szynkę. I pierwszy raz widziałem, jak pies pijany wygląda... Bo on idzie i nagle mu tylna łapa bzii... tak, ta tylna łapa mu jakoś tak jakby była gumowa (śmiech).
- No więc jamnika upiliście...
- Jamnika upiliśmy. Zawsze my jako młodzież mieliśmy oddzielny stolik...
- A ile było wtedy dzieci?
- U nich była trójka.
- Także brat był znacznie starszy.

- Tak, tylko tamten brat Jasia był starszy jeden, i mój brat był starszy, to oni byli we dwójkę, a my znowu tak jakby drugą grupą. Brat mój już pracował, więc już nie siedział z nami przy stoliku, tylko z tym...
- Ale to było na wsi, gdzie oni mieszkali?
- Nie, to było miasteczko 30 tys. liczące.
- I czym się ojciec zajmował? Z czego żyli?
- On był burmistrzem.
- Ach, był burmistrzem.
- Tak.
- No to wracajmy teraz do Lwowa. A z kolei czy oni do was przyjeżdżali, jeszcze jak mama żyła, czy nie?
- Przyjeżdżali, owszem, bo ten wuj przyjeżdżał często, on przyjeżdżał służbowo do Lwowa raz w miesiącu. I pamiętam, że było tak, że gdy swoje służbowe sprawy załatwił, to przyjeżdżał do nas, do ojca. I ojciec wyjmował ćwiarteczkę, no i ćwiartkę spirytusu, do tego sok wiśniowy, tak zwany tata z mamą, tak to się nazywało. No i tak sobie popili. Gdzieś godzina siedemnasta coś tak wieczorem, wuj mi chciał zrobić przyjemność to powiada: 'No, Wacek, goń teraz po taksówkę!'. Wtedy taksówki, i w ogóle samochody, to nie były czymś takim. No i ja biegłem aż do Szynfelda, koło tego szpitala na Głowackiego, bo tam był najbliższy postój taksówek, wybierałem najładniejszą taksówkę, taka żeby była otwarta, kabriolet, tą taksówką podjeżdżałem do domu, wuj wsiadał i odwozili go na stację.
- Kierowcy pewnie byli ubrani bardzo elegancko.
- Nie, nie byli tak ubrani. Całkiem normalnie.
- Normalnie...
- Ładnie byli w ubraniu w prywatnych samochodach, kierowcy służbowi, a tak to normalnie.
- No, ale to było zawsze wielkie wydarzenie, pojechać taksówką.
- Pojechać taksówką to było, dla mnie tak.
- A plac, przy którym był dworzec główny we Lwowie, nazywał się Plac Wilsona. Nie wiem kiedyś z jakiejś okazji szukałem, gdzie jest plac Wilsona 7. I pytam policjanta, proszę pana, gdzie tu jest Plac Wilsona. 'O tu, tu, gdzie stoisz' – odpowiada.
- A w jaki sposób... Znaczą się, były tramwaje?
- Tak, podstawowym środkiem lokomocji były tramwaje. Ta sieć tramwajów dobrze rozbudowana. Prawie w każdym kierunku były linie, i na końcowym przystanku przynajmniej dwa różne numery. Były bilety normalne i bilety z przesiadką. Bilet normalny kosztował 25 gr., z przesiadką 35 gr., kontroler dziurkował tak że można było się przesiąść.
- A tramwaje były jakiego koloru?
- Były biało-czerwone. Białe, kremowe takie (w każdym razie jasny) i dół cały czerwony.

Spisałem z kasety X 2001 – Adam Biliński